XXIV. Kraków, 15 lipca 1921 r. Nr. 14.

„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 171 M. — f. Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 63 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]
[illegible]
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień“ Łódź, Piotrkowska 81.

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej Mrk. 10·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mrk. 15·—, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy Mrkp. 20·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej Mrkp. 30·—.

Numer pojedynczy 30 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 30 Marek.



— Piękną jesteś w tej pozycyi... i gdyby nie powiew chłodnego powietrza, który oziębia moje zapały, gotówbym cię tutaj pocałować...

— Powiedziałeś prawdę, tobie wiatr nawet przeszkodzi...

Rady ewangieliczne.

Gdy ciężkie grzechy masz w życiu swojem
Gdy na myśl piekła drżysz z niepokojem,
To pełń pokutę przez dobrą wolę,
By się nie smarzyć w piekielnej smole!

Więc czyń pokutę, odziej się worem,
Zebrz pod kościołem, albo klasztorem
Niech się wsza gryzie, niech głód doskwiera
Albo do ręki weź *„Kuryera"*.

To najostrzejsza pokuta taka:
Czytaj Kroniki pana Stasiaka
Wtedy się staniesz jako idyota,
Bóg ci wybaczy grzechy żywota!...

Autentyczne.

W Warszawie jest zwyczaj, że kto ma naprawdę zniszczone pieniądze, oddaje je w tramwaju, gdyż tu byle serya była i numer, każda 100, 20 i 10 markówka może przez konduktorów być przyjęta.

Podpisany wracając późno tramwajem do Imci na Henrykowie wozem „19" zauważył na jednym z przystanków wsiadającą pewną panią mogącą liczyć około 50 lat, z 16-letnią córeczką, która otwiera zaraz torebkę i szuka pieniędzy „za bilet". Matka odzywa się na to:

— Czekaj, czekaj Lilu, nie daj, ja mam starą, rozdartą, to ja mu dam. *Runek.*

Tylko bez gestów.

Po weselu u państwa Zakładalskich goście nad ranem rozchodzą się zwolna. Zbliża się oczekiwana nareszcie chwila, w której nowożeńcy mają się udać do siebie. Roztropna matka panny młodej, osoba żywo mająca w swej pamięci pierwsze momenta swego zamążpójścia, która zwykła wszystko, co mówi, popierać dosadnymi gestami, nie znalazła dotąd czasu, aby pomówić z córką w cztery oczy. Ciągnie ją przeto w tej ostatniej chwili w kąt salonu i szepcze:

— Moje dziecko, muszę ci jeszcze coś powiedzieć, nim odejdziesz z mężem...

— Dobrze mamo, dobrze — mówi córka z uśmiechem — ale, bez gestów, bo patrzą na nas...

Mała filozofka.

Ojciec: Jak będziesz grzeczną, to ci bocian przyniesie braciszka.

4-letnia Zosia: Jakie to dziwne! Ciocia mówiła właśnie, że go bocian dlatego przyniesie, ponieważ tata był niegrzeczny.

W szkole.

— Jasiek, jak zdrobniale nazywa się samica?
— Samiczka.
— A prawica?
— Nie wiem, panie profesorze.
— Osioł jesteś, siadaj!

Z tajemnic małżeńskich.

Sześćdziesięcioletni pan radca Pobzdykiewicz, przeżyty dobrze dandys, wchodzi rano do sypialni swej młodej żony i mówi:

— Wyobraź sobie moja duszko, ile razy się golę, to zdaje mi się, że o jakie dwadzieścia lat odmłodniałem...

— Żebyś ty tak chciał wieczorem się golić — westchnęła na to żona.

Pomiędzy chórzystkami.

— Cóż ty piszesz Stefka?
— List do ojca mojego dziecka!
— A zatem... okólnik!...

Tumor Mózgowicz.

Byłem na tym Mózgowiczu
W Słowackiego-m był teatrze
Na kierunek „nowej sztuki"
Ze zdumieniem wielkiem patrzę.

Co tam Fredro i Słowacki!
Co tam polski Parnas wszystek!
Górą Trzciński i Witkiewicz
I Czyżewski i nasz Chwistek!

Lecz niech Trzciński proteguje
Już gdzieindziej takie twórce!
Zrobi teatr w Kobierzynie
Lub u siebie — na „Psiej górce"!

Omal, że nie katastrofa!...

(OBRAZEK NA CZASIE)

Pan radca, małżonek pani Maryi, odkąd żonę wysłał na świeże powietrze, czuł się jakoś swobodniej i weselej, w knajpce przesiadywał dłużej niż zwykle i wypijał o jedną bombkę piwa więcej, wiedząc o tem, że w domu, oprócz pluskiew, nikt nań nie czeka.

Był on doskonałą ilustracyą przysłowia: „Baba z wozu koniom lżej...", choć pani Marya, osóbka zaledwie trzydziestoletnia, była jeszcze bardzo smacznym kąskiem, lecz, niestety, nie dla pana radcy, który... żeby miał już bardzo osłabione.

I dziś, znalazłszy się w gronie przyjaciół, bawił pan radca wszystkich swym humorem, co w szczególniejszą pasyę wprawiało cierpiącego na wątrobę jego kolegę radcę Bzdykiewicza.

— Zamiast fanfaronować — przerwał złośliwie Bzdykiewicz — wolałbyś radca raczej uważać na swoją żonę, która stara się gwałtownie o to, aby ci rogi na głowie wyrosły... I jakże potem włożysz kapelusz?...

— To kalumnia, rzucona na kobietę, czystą jak anioł... — bronił się radca.

— Kalumnia, nie kalumnia!... O tem całe miasto mówi, tylko radca nie możesz jakoś tego dosłyszeć... Ale, jeśliś ciekawy, radzę ci, weź fijakra, jedź do Czyżyn, gdzie twoja żona bawi na wywczasach, a idę o zakład, że zastaniesz czułą parkę w gniazdku... Jest zaledwie dziewiąta, na jedenastą możesz być z powrotem i jeszcze się wyśpisz.

— A jeśli ich nie złapię? — pytał pan radca, nie mający widocznie ochoty do podjęcia tej przejażdżki.

— W takim razie ja stawiam jutro choć sam nie piję — kończył Bzdykiewicz — flaszkę tego wina, które radca tak lubi...

To radcę widocznie przekonało, pożegnał się i wyszedł, zostawiając resztę towarzystwa zajętą rozmową na temat stosunku pani Maryi do pana Kazimierza, uzupełniającego, jako trzeci bok, ów trójkąt małżeński.

Aby sobie oszczędzić niepotrzebnej drogi, skierował się pan radca najpierw na ulicę Zwierzyniecką, gdzie mieszkał ich wspólny przyjaciel pan Kazimierz, rozumując, że jeśli go zastanie w domu, to tem samem nie może być równocześnie w Czyżynach, zatem oszczędzi sobie wydatku na fijakra i z łatwością wygra butelkę wina.

Pana Kazimierza nie zastał w domu, stukał i pukał, lecz bez skutku, zaglądał nawet przez dziurkę do wnętrza, czy w drzwiach nie tkwi klucz, lecz wszystko bez skutku.

Siadł zatem na pierwszego napotkanego fiakra i kazał się wieźć do Czyżyn, rozmyślając w drodze o tem, jak ma postąpić, jeśli przypadkiem sprawdziłyby się słowa Bzdykiewicza. W pierwszej chwili miał zamiar zgładzić ze świata niewierną żonę i jej gacha, nastąpiła jednak refleksya, że to zbrodnia za spełnienie której można wejść w konflikt z kodeksem karnym, czemże ich zresztą zamorduje, nie rozporządzając żadną bronią, bo parasola za takową chyba uważać nie można. Ale zaraz jutro wniosł by skargę o rozwód, zwłaszcza, że jeden z towarzyszów stołu, mecenas z zawodu, zapewniał go solennie, iż jego kancelarya sprawy takie załatwia szybko, bezboleśnie i tanio.

— — — — — — — — — — — —

A w Czyżynach, w ustronnym wiejskim domku, gruchała sobie czuła parka przy zgaszonem świetle. Pan Kazimierz odwiedził i dziś, jak zresztą czynił codziennie, panią Maryę, aby u niej zabawić „od pociągu do pociągu". Ponieważ jednak wybierał stale pociąg wieczorny, idący w stronę Kocmyrzowa, wracający zaś do Krakowa dopiero nazajutrz wczesnym rankiem, zmuszony przykrą koniecznością, pozostawał tam przez noc.

Młodzi ludzie opowiadali sobie właśnie coś ciekawego, gdy ciszę nocną przerwał turkot pojazdu, który zatrzymał się niepodal. Panią Maryę ogarnęło jakieś złe przeczucie, prześlądujące z zasady każdego winowajcę, pan Kazimierz nie zdawał sobie widocznie sprawy z mogącego im grozić jakiegoś niebezpieczeństwa był bowiem jak najlepszej myśli. Po chwili rozległo się ujadanie psa i gwałtowne stukanie do drzwi i wymiana głosów, między którymi pani Marya rozpoznała wyraźnie basowy głos swego małżonka.

— Boże!... Mój mąż!... Kaziu!... Co robić!... — powtarzała przerażonym głosem.

— Przedewszystkiem uspokój się i zachować zimną zimną krew, a wszystko będzie w porządku... Ja zmykam — to rzekłszy zabrał pospiesznie co mu pod rękę wpadło, wdział na głowę kapelusz, w rękę chwycił laskę, jednym susem znalazł się za oknem, drugim przesadził płot i uczuł się bezpiecznym dopiero wśród zboża, którego łan rozpoczynał się tuż obok.

A u bramy wchodowej pan radca prowadził ożywione pertraktacye z gospodarzem, nie chcącym do wnętrza wpuścić intruza, któremu napróżno starał się wbić w łepetę, „że państwo już dawno spać się położyli i przeszkadzać im nie można", pertraktacyom tym zaś towarzyszyło coraz gwałtowniejsze ujadanie Kruczka, dobierającego się do łydek pana radcy. Wreszcie, po długich a dolegliwych cierpieniach dostał się pan radca do sieni i zapukał dyskretnie do drzwi pokoju, zajmowanego przez panią Maryę. I tutaj powtórzyło się to samo, co u drzwi wchodowych, dalsza serya pytań i odpowiedzi, kto, po co, itd., po dobrej chwili zaskrzypiał dopiero klucz w drzwiach i sapiąc niczem zepsuta lokomotywa, wtoczył się pan radca do ciemnego pokoju, a nie wiele brakowało, a byłby zaraz na wstępie legł jak długi, potknąwszy się o próg.

— To ty Wicusiu?... — pytała na pół sennym głosem pani Marya — I cóż cię o tej porze sprowadza?...

— Miałem jakieś złe przeczucie... Obawiałem się, czy cię nie spotkało jakie nieszczęście — jąkał pan radca, jak każdy, który kłamstwem musi krok swój pozorować.

— Jakiś ty poczciwy!... Siadaj na kanapie, ja tymczasem lampę zaświecę...

— — — — — — — — — — — —

Pan Kazimierz znalazłszy się już za płotem, dziękował w duchu swojemu nauczycielowi gimnastyki, że wpoił w niego zamiłowanie do tego, jak się właśnie okazało, tak pożytecznego sportu, a czując się już zupełnie bezpiecznym odetchnął lżej i swobodniej. Lecz w tej chwili przypomniał sobie, że w pokoju zostawił najważniejszą część garderoby, o której w damskiem towarzystwie głośno mówić nie wypada... Co tu począć w tym kłopocie?.... Do Krakowa trzeba wracać co prędzej, a w tym kostyumie trudno się ludziom pokazać na oczy... Na szczęście nosił stale kolorowe, ciemne trykoty, mogące w ostateczności uchodzić w nocy za spodnie do jazdy konnej... Gdy w pokoju zabłysło światło, podszedł ostrożnie ku fijakrowi, a przekonawszy się, że to jego stary znajomy, Józef, służący niegdyś u jego ojca, ucieszył się ogromnie i roz-

Ludowa szkapa.

Miałaś stajnię i ogródek
Pod kościołem Kapucynów,
Tam bawiłaś miejski ludek,
Nie pragnęłaś mieć wawrzynów!
Aż na „Rajską“ poszłaś szkapo
W drugiej stajni żyć „*da capo*“!

Tu — nie ważąc pracy letce
W całym wielkim aparacie,
To — wierzgałaś w operetce,
To znów — kładłaś się w dramacie.
W tych produkcyach — szkapo podła!
Twój dyrektor wypadł z siodła!

Więc huknęli Sztuki znawcy:
„Raz trza skończyć ambarasy!
Z tą kobyłą do oprawcy!
Tu klacz przyjdzie cennej rasy!
Toż spełniając znawców wolę
Miał kobyłę zarznąć Rolle.

I zginęłaby kobyłka,
Będąc chuda, słabowita,
Z tym ogonem, co u tyłka
Wisiał, jak żałobna kita
Wprost podobna Desdemonie,
Albo Julii na balkonie!

Ale „Ciocia z Ameryki“
Uratuje biedne zwierzę,
I bez względu na krytyki
Do swej stajni ją zabierze!
W ciąg dwudziestopięciolecia
Będzie to już stajnia trzecia!

Nie chcesz zginąć bez sposobu?
Więc bacz, będąc u cioteczki,
By nie dano ci do żłobu
Znowu dramatycznej sieczki!
Gdy nie zginiesz w własnem łajnie,
Będzie ci tam — nadzwyczajnie!...

Koledzy.

Jeden z lekarzy krakowskich, specyalista w chorobach wenerycznych, spotyka się ze znajomym księdzem i w toku rozmowy tytułuje go stale „kolegą“.

— O ile mi się zdaje — przerywa ksiądz zdziwiony, — to my nigdy ze sobą nie kolegowaliśmy...

— W szkołach nie — lekarz na to — kolegujemy jednak obecnie. Ksiądz dobrodziej, jako promotor Bractwa wstrzemięźliwości, zaleca wstrzymywanie się od użycia alkoholu, ja nakazuję to samo mym pacyentom.

Oburzona.

— Powiadam pani, moja kochana pani Kohn, że te nasze przyjaciółki, to mogą nawet najspokojniejszego człowieka wytrącić z równowagi... W sobotę zgadałyśmy się w Esplanadzie, gdzie która z nas spędzi tego roku wakacye. Horowitzowa powiada, że w Baden, Afterlochowa, że w Baden — Baden... Głupie małpy myślały, że ja pozwolę kpić ze siebie, to też, gdy jedna z nich zapytała mnie: „A kochana pani dokąd wyjeżdża?“... odpowiedziałam jej: „Rabka — Rabka — Rabka“...

Te wyjdą.

(Facecya autentyczna).

Przed kilkudziesięciu laty żyła w Krakowie pani Marya K. znana powszechnie w kołach mieszczańskich z namiętności do gry w loteryę liczbową. Mając nią ciągle zaprzątniętą głowę, śniła raz słodko, że tylko te numera wyjdą na loteryi, jakie jej poda waryat.

W zamiarze dostąpienia tego szczęścia udała się do szpitala i prosiła dyrektora tejże instytucyi, aby jej pozwolił widzieć się z którym z waryatów.

Życzeniu jej stało się zadość i pani K. prosi przyprowadzonego waryata, aby jej napisał trzy numera do postawienia na loteryę.

— Na co to pani? — pyta grobowym głosem waryat.

— Bo pańskie numera wyjdą — odpowiada zapytana.

Waryat siada i na trzech skrawkach papieru pisze trzy numera, następnie zwija je w gałki, kładzie do ust i — połyka.

— A to co? — pyta pani K. z konsternacyą.

— Nic... przyjdź pani jutro... do jutra wszystkie trzy wyjdą — brzmiała poważna odpowiedź.

Z kroniki sportowej

Wczoraj w przystani Towarzystwa wioślarskiego nastąpiło uroczyste spuszczenie na wodę dwu nowo zbudowanych łodzi. Pierwszy spuścił się Krakus, w małą chwilę potem Wanda co licznie zebrana publiczność obojga płci przyjęła grzmotem frenetycznych oklasków.

począł z nim cichą pogwarkę, której następstwem było, że pan Kazimierz odszedł spokojnie w stronę Krakowa w płaszczu pożyczonym od Józefa, który pożegnał go słowami:

— Ja to rozumię!... Niech panicz będzie spokojny... I za dwie godziny nie zajedziemy do miasta...

Ufny w swą szczęśliwą gwiazdę, która go już z tylu tarapatów wyratowała, szedł pan Kazimierz szybkim krokiem w stronę Krakowa. Szczęście widocznie sprzyjało mu dzisiaj, zaraz bowiem za wsią, posłyszał za sobą turkot bryczki, a po chwili nadjechał znajomy handlarz koni ze Zwierzyńca, który znał pana Kazimierza z kancelaryi adwokackiej, w której tenże pracował, zaprosił go do zajęcia obok siebie miejsca i dowiózł szczęśliwie, aż pod bramę domu. Na rogatce nie omieszkał pan Kazimierz zwrócić strażnikowi uwagę, że widział w Czyżynach, jak jakiś fiakier ładował coś podejrzanego pod siedzenie... Znalazłszy się w domu, odetchnął pan Kazimierz naprawdę pełną piersią, chwaląc sobie swój zwyczaj noszenia kluczy i wszystkich ważniejszych przedmiotów w kieszeniach marynarki, a nie spodni. Powoli rozebrał się i legł na spoczynek, jak gdyby nigdy nic nie zaszło.

— — — — — — — — — — —

Gdy światło zabłysło rzucił pan radca ciekawie okiem po pokoju i przekonał się ku swojemu wielkiemu zdumieniu, ale i zadowoleniu, że prócz żony, nie ma nikogo w pokoju. Rozpoczął rozmowę na temat owych przeczuć jakie go dręczyły, rozglądając się dalej, czy nie ujrzy gdzieś czego podejrzanego. Pod łóżkiem, które dokładnie oświetlał blask lampy, nic nie było, prócz znanego porcelanowego naczynia, pod kanapką, na której siedział, tak że nic, jak to już stwierdził parasolem i nogami. Jedynie szafa, ogromnych rozmiarów, budziła pewne wątpliwości...

Nagle spostrzegł pan radca leżący na stole srebrny męski zegarek z łańcuszkiem...

— A to co?... Czyj to zegarek? — badał podejrzliwie.

— Miałam zamiar pojechać jutro rannym pociągiem do Krakowa, po kilka drobiazgów, bez których obejść się nie mogę — odpowiedziała najspokojniej pani Marya — a ponieważ mój zegarek stale się spaźnia, chcąc wstać na czas, pożyczyłam zegarka od naszego gospodarza...

— Phi, phi! Jak się to czasy zmieniają... Teraz chamy mają także eleganckie zegarki... — mruknął pan radca, widocznie jednak uspokojony, gdy wtem padł jego wzrok na przewieszone przez poręcz krzesła... o zgrozo!... męskie spodnie!..,

— Więc on tu jest?!... Czyje to spodnie?! wrzasnął, niczem byk rozjuszony.

Pani Marya w pierwszej chwili przerażona tem niespodziewanem odkryciem, zebrała jednak naprędce swe nerwy i rzekła, siląc się na spokój:

— A czyjeż by?!... Gospodarza...

— Gospodarza?... — badał dalej radca w jakich warunkach je tu zostawił?...

— A skąd ja mogę wiedzieć o tem? — odpowiedziała.

— Chyba można wiedzieć!... Musi to zwrócić uwagę, jeśli ktoś przychodzi do pokoju w spodniach, a wychodzi bez nich...

— O tem powiedzieć nic nie mogę... Wisiały w szafie, skąd je wyjęłam, aby tam ułożyć swe rzeczy. Mówiłam gospodarzowi, aby je sobie odebrał, ale dotąd tego nie uczynił.

Równocześnie podeszła ku drzwiom szafy otwierając je szeroko. Panu radcy spadł naprawdę ciężki kamień z serca, gdy i w niej nie dostrzegł nic podejrzanego.

Jedynie otwarte okno zdawało się mu mówić: „a może tędy ptaszek wyfrunął?...“

— Zwracałem ci już uwagę, jak to niebezpiecznie spać przy otwartem oknie... — mówił. — I źle wpływa na zdrowie, i złodziej może się łatwo dostać do mieszkania...

— Noc ciepła, złodzieja się nie obawiam gdyż okno wysoko, a bezpośrednio pod niem buda Kruczka...

Pan radca wyjrzał przez okno, a stwierdziwszy prawdziwość słów swej żony i przypomniawszy sobie jak Kruczek niegrzecznie dobierał się do jego łydek, uspokojony już zupełnie, oświadczył, że wraca do Krakowa. Pani Marya zachęcała go do pozostania, nie pomogły najczulsze propozycye. Pan radca oświadczył kategorycznie, że nie potrafiłby zasnąć w nie swojem łóżku.

Czułe pożegnanie, obietnica rychłych odwiedzin i odwrót w stronę Krakowa, tym razem już w daleko lepszym nastroju. Radca cieszył się na samą myśl, jakie oczy zrobi Bzdykiewicz o wyniku dochodzeń.

Powrotna droga dała radcy sporo powodów irytacyi. Woźnica ciągle schodził z kozła i miał coś do poprawienia, obok kowala zatrzymał się, gdyż koniowi, jak twierdził, obluzowała się podkowa. Pan radca zachęcał do pośpiechu, nalegania jego rozbijały się o stoicki spokój woźnicy.

— A cóż ja na to poradzę — mówił — Kobyły zmarnować nie mogę.

Na rogatce mogilskiej również nie potrzebne zatrzymanie, wywołane posądzeniem o przewożenie kontrabandy, ostatecznie koło dwunastej znalazł się radca w śródmieściu, każąc się wieźć do mieszkania pana Kazimierza.

I znów długie pukanie i ruszanie klamką; wreszcie z głębi pokoju doszło uszu pana radcy ziewnięcie i pytanie zaspanym głosem: „Kto tam?!...

— Ja kochany panie Kazimierzu!... — odpowiedział radca.

Po chwili rozległy się kroki bosych nóg, odgłos przewracanych na stole przedmiotów, zgrzyt klucza w drzwiach. Gdy się radca znalazł w pokoju, oświadczył zdziwionemu tak późną wizytą panu Kazimierzowi, że wstąpił doń, aby mu przywieźć pozdrowienie od żony, u której bawił wieczorem.

— Chciałem cię zabrać ze sobą, kochany — dodał radca — ale cię w domu nie było.

— Owszem byłem...

— Nie było klucza w drzwiach!

Wyjmuję go z zasady, aby się uchronić od niepożądanych wizyt...

Pan radca zawiadomił pana Kazimierza, że Marynia jest zdrowa, dobrze wygląda, i prosił, aby ją odwiedził.

— Może pojechalibyśmy jutro razem? — rzucił pytanie pan Kazimierz.

— Jutro nie mogę!... Mam ważny zakład do rozegrania, jedź sam, Marynia się bardzo ucieszy...

Wracając do domu, rozmyślał pan radca nad złośliwością ludzkich języków, nad wiernością pani Maryi, bezinteresowną przyjaźnią pana Kazimierza, a zakończył:

— To mnie jednak cieszy, że Brdykiewicz musi jutro postawić flaszkę wina... Z irytacyi spuchnie mu jeszcze bardziej wątroba.





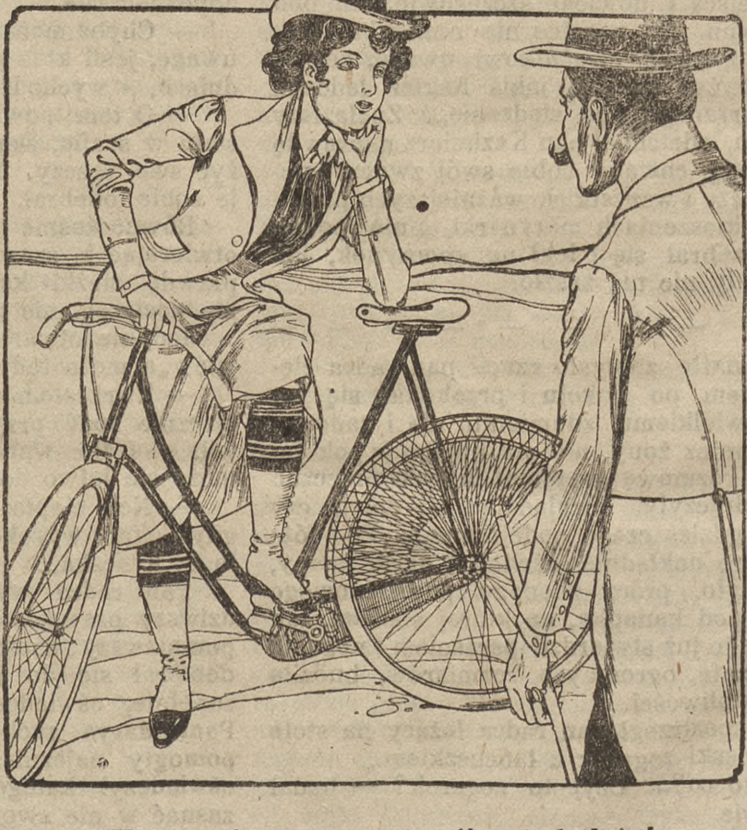
— Te kwiaty, co przynoszę ci, niech będą tłómaczeniem...
— Nie lubię rozmawiać przez tłómaczów, daj mi portfel!... On mówi sam za siebie!...



— Sześć tysięcy dałam za moje jedwabne pończochy!... Dziś nareszcie doczekałam się deszczu i faceta!



— Przynieś mi niebieskie podwiązki!... Sypialnia Alfreda ma tapety w tym samym kolorze!



— Wie pani, że rowerzystka i baletnica mają bardzo zbliżone zawody: obydwie pracują nogami!
— Ach mój panie! Czy tylko rowerzystki i baletnice?



Młoda mężatka *(po ślubie, do siebie)*: — Rozpoczyna od zdjęcia symbolicznego wianka! Biedak! widać nie wie, że symbole często zawodzą!



— Wszak nieraz zapewniałaś, że dla mnie poszłabyś w ogień i wodę!...
— A co? Czy może nie wlazłam do wanny?!



— Kochanek mnie puścił w trąbę!... Dobrze! zacznę tymczasem romans z moim mężem!...



— **Ona** *(w górach)*. — Jesteśmy na szczycie!... Spojrzyj tylko z góry!...
On. — Istotnie! co za prześliczny widok!

Ferdek Eleuteryk.



Nie wiem, czy mi sie natura odminiła, czy tyż naprowde wiosna jest tego roku spóźniono, teroz bowiem dopiro gdy momy już lipiec, przychodzi na mnie majowe usposobienie, a natchninie poetyckie zaczyno mi rozpirać boki, niczym krowie, kiedy sie jest świży koniczyny zanadto obżyrajonca. Furt łażom mi po makówie rymy, kuždym odpowiadom na pytania wirszami. Jedni patrzom na mnie jak na waryota, który zrobił wytyke od Piltza, ale od tygo krakowskigo, a nie onygo, co sie tak kocho z Pepikami, inni myślom, że mom ochote starać sie o nagrode, których nie żałujom młodym poetom panowie z ministerstwa kultury i śtuki.

W moim pamintniku zapisuje tyż ważnijsze zdarzynio wirszydłami. Z pirszyj połowy lipca som tam takie:

„Przyleciały z nad Bałtyku,
Narobiły troche krzyku,
Oglądnęły, pofrygały,
Popiły i odjechały!...“

Jest to odnoszonce sie jak kuždy pewnie skapowoł do szmaciorzy nadbałtyckich, które som po Polsce rundrajze robioncy, zawadziły i o Kraków, nasłuchały sie o tem, jak ich kochomy, nagwarzyły jak one nos majom w syrcu, a potym poknajały do Zakopanygo. Staropolsko gościnność znalazła znowu pole do popisu, skorzystali z tygo i krakowianie, a niejeden z tych którzy gości ani na krok nie odstympowali, wywatowoł se tak kantyne, że mu to starczy na cały misionc, a jedneroł od finlandzkich szmaciorzy w rozmowie z niżyj nie podgrypsanym zauważowoł, że widocznie nie tylko ludy północy cieszom sie wzmorzonym apetykiem, ale i miszkańcy środkowyj Europy.

A jo mu na to:

— Bo to widzi pon jednoroł, to jest tak... Jako miszkajoncy w środku, mindzy północom a połedniem, od północników momy apetyk, a od południków nieustajonce pragninie i to ino bida, że nima czym jednygo i drugigo zaspokoić i trza czekać sposobności, aż sie trafi jako okazyjo gratysowyj wyzyrki i chlapki, jak naprzykłod ta.

Drugi wirsz z tych czasów w pamintniku brzmi:

Tak jak krowa cztyry cycki
Mo nasz Kraków cztyry „wicki“...

To jest cztyry wicepryzydenty, jako kuždy wół lub stół, jest cztyry nogi majoncy. Stół może być z dwiema nogami, a takim stołem jest teroz Kraków, któren powinien być cztyrech wicków majoncy, a ma ino dwóch, gdyż jedyn przeniósł sie do wiczności, a czworty sie jeszcze nie urodziuł. Dotond były ino trzy „wicki“ i to lumerowane, odtond bedzie ich cztyrech ale bez lumerów. I może wskróś tygo ni może sie naszo Rada mijsko, ani rusz zdobyć na wybór dwóch brakujoncych, aby skompletować czwórke. Radce mijskie z dziwnom legularnościom nie przychodzom na posiedzynia, tak, że ile razy mo uryna wyborczo pojawić sie na stole, pokazuje sie, że komplytu brak. Najwyższy czas, aby do Rady weszły i przedstawicielki pci mientkij (winkszość radców przecież do nij należy, przyp. zecera), aby oprócz ojców, były i matki miasta, a wtedy bendzie wincyj w Radzie miasta leguralności także i pod wzglendem chodzynio na posiedzynia, łatwij tyż odbendzie sie poród, tak dotond utrudniony dwu nowych „wicków“.

Kiedy wryszcie doczekomy sie komplytnygo umeblowanio gabinetu pryzydyalnego o tem wi jedyn pon Bóg, a nie wi pon pryzydent, ani nawyt pon Rolle, który jest wszystko wiedzący.

Trzeci wirsz odnosi sie do zapowiadanygo na bioły dziń randewu pana Księżyca z pannom Wenerą, o czym tak nagrypsołem:

„Mało mu nocy na jego zachcianki,
Którymi gorszy świat dewotek cały,
Na swoje z panną Wenus zalecanki
Wybrał dzień biały!...“

Ale starygo nocnygo wagabunde, spotkało rozczarowanie... Choć różne *Kuryerki* zawczasu zachencały wszystkich, aby korzystali ze sposobności i obsyrwowali pouczajonce zdarzynie. Spotkanie to odbyło sie wprowdzie w bioły dziń, ale pod kołdrą z gynstych chmur i próżno kuždy i kuždo bałuszył kapowidła, n kt nic nie uźroł i obeszło sie bez publicznygo zgorszynio, o co sie dywotki, tak były obawiajonce.

Ostatni wirsz odnosi sie do wyjazdu Mańki, któro poczuła w sobie chyńć łykanio świżygo powietrze:

„Nie chcąc w Krakowie siedzieć po [próżnicy,
Zapakowała swoje mantelzaki
I poknajała kiedyś do Krynicy,
Co mej kiszyni dało sie we znaki.“

A tyj Krynicy chyciła sie jak pijany płotu utrzymujonc, że tam jest najtanij, bo nagrypsoł ktoś w *Kuryjerku*, że kto jedzie do Krynicy powinien się zaopatrzyć w banknoty pincio, dziesincio i dwudziestomarkowe, bez których tam obyjść sie trudno.

— A widzisz — gwarzyła — jak tam tanio... W Krakowie za dwadziścio marek nic nie dostanie, a tam dostanie nawyt za pinć, bo i po cóżby zachencali, żeby sie w takie banknoty zaopatrywać?...

Baby nie przekono, wienc tyż i jo nie byłem sie jej perswadować starajoncy, ale ducha tymu, który to pusknon w *Kuryjerze* byłem życzoncy, aby z piekła nie wyźroł, i to nie w zimie, ino w czasie najgoryntszygo lata.

Siedze zatym w Krakowie z przyproszyniem na du... żym fotylu i drapie sie w makówe, skond wzionć chopów, aby Mańka miała co wydawać, bo ile razy wzole grabe do doliny, nic tam nie wymacom ino dziure dlo tym lepszyjszyj wentylacyi.

W Kabarecie „Przyrodzenie“.

Gość pierwszy:

— Co? za wino sześćset marek?
Za trzy wódki, tysiąc dwieście?
Jak ło można takie zdzierstwo
Tolerować w naszem mieście?

Gość drugi:

— Halo! Kelner! Co to znaczy?
To przechodzi miarę wszelką!...
Przy stoliku tamtym apasz
W głowę rzucił mi butelką!...

Gość trzeci:

— Służba! proszę go usunąć
On do tego nie miał prawa,
Czy widzicie, sąsiad obok
Nażygał mi do rękawa!

Chór gości:

— To spelunka! to skandale!...
To gdzieindziej się nie zdarza!
Zróbcie wreszcie raz porządek,
Zawołajcie komisarza!

Kelner:

Po co się tak denerwować,
Po co robić innym wstręty?
Pan komisarz — urzęduje
Urzęduje... jest urżnięty!...

Filia „Bagateli“.

Artystom „Bagateli“ daje Dyrekcja do podpisywania kontrakty z zobowiązaniem grania także w „filii Bagateli“, nie wymieniając co to za filia?

W aktorskiej familii
Strach jest owej “filii“.
Chrzanów, czy Kikutów?
Piechtą?... Szkoda butów!

O, gdyby wiedzieli,
Gdzie ich z „Bagateli“
Tych projektów twórce
Wywiozą na furce!

Przy pomocy Boskiej,
Na Woli Justowskiej,
Jeśli się nie *mylię*
Robi Bisanz filię!...

Lapsus linguae

— Słyszałem, że Stefanowie się rozwodzą... Cóż powodem?

— Głupstwo!... Onegdaj w nocy, gdy była rozespana, odezwała się pani Stefanowa do męża: „Ach, mój słodki Kaziu... Gdyby tak umiał kochać mój Stefan“... Pan Stefan tak sopie wziął do serca te słowa swej małżonki, że zaraz nazajutrz wniósł skargę rozwodową...

„Salonki“ — dla hołoty!

„Kuryer codzienny“ utyskuje, że na kolejach „salonkami“ jeździ hołota.

„Kuryer“ płacze: Dla hołoty
Przeznaczone są salonki,
Jeździ każdy aferzysta,
Paskarz cukru, handlarz mąki!...

I dlatego na koleje
Robi w szpaltach swych nagonkę:
„Gdy hołota cała jeździ,
Ja też proszę o salonkę“!...

Nasz attachè.

(Podsłuchana rozmowa.)

— Czy słyszałeś, że podobno *serenissimus Cazimirus* książę na Lubiczu, Lubecki, ma zostać naszym attaché dla spraw wojskowych przy Watykanie?

— Przy Watykanie?... A cóż Kościół może mieć wspólnego ze sprawami wojskowemi?

— Jakto co?... Przecież Papież ma swą gwardyę przyboczną, szlachecką i szwajcarską, a i u nas, zwłaszcza po małych miasteczkach tworzy się w okresie świąt wielkanocnych oddziały zbrojne, pełniące straż honorową przy grobie Chrystusa i oddające salwy honorowe podczas rezurekcyi... Formacya tych właśnie oddziałów będzie należała do zakresu urzędowania pana Szambelana.

Nagrobki.

I.

Zmarł śmiercią cywilną w nieładnej aferze
Nie on ostatni, nie pierwszy na świecie,
Chciał *zacząć* karyerę we wielkiej operze,
A *skończył* karyerę — w małym kabarecie!

II.

Utrupił nam Teatr Ludowy, i letko
Wicegubernator dokonał żywota...
Więc przyjdz na grób Jego czasem Operetko,
Swe łydki mu pokaż i zatańcz fox-trotta!



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

A jednak pokazuje się, że klapa ma jeszcze jakieś w świecie znaczenie, że się ludzie z nim liczą, czyli, mówiąc innemi słowami, nie wypadł sroce z pod ogona. Przekonałem się o tem, wyczytawszy w gazetach, że Lloyd George, ma zamiar zaraz po ukończeniu konferencyi z premierami zamorskich kolonii podać się do dymisyi i usunąć się w zacisze domowego ogniska, które będzie czem opalać, gdyż angielski strajk węglowy już się skończył. Rzekomym powodem podania się jego do dymisyi mają być nieporozumienia na tle politycznem między nim, a zamorskimi kolegami, tak jednak nie jest. Lloyd George moje zerwanie z nim tak sobie wziął do serca, że postanowił raz na zawsze zerwać z życiem politycznem, pozbawiony moich rad i wskazówek.

Jak sądzą, Anglia na tem postanowieniu Lloyd'a George'a źle nie wyjdzie, nic na tem nie straci także ogólna polityka światowa, pokazało się bowiem, że on w tym fachu nie majster, za jakiego chciał uchodzić, ale zwyczajny sobie fuszer.

Ponieważ w świecie panuje zwyczaj, że i największego szkodnika społecznego, gdy ustępuje z zajmowanego stanowiska, żegna się ogromnie uroczyście, chcąc dać wyraz radości, iż raz już sobie przecież poszedł, zawiązał się też ogólno-światowy komitet, mający się zająć uczczeniem przechodzącego w stan spoczynku i jego zasług, które położył, ewentualnie zaś miał je jeszcze położyć w dalszym ciągu. Komitet ten zostający w ścisłym związku z Radą Najwyższą i pod protektoratem Ligi Narodów, podzielony został na sekcye narodowościowe, utworzenie zaś polskiej złożono w najgodniejsze i najodpowiedniejsze ręce, to jest moje. Stałem się przyczyną jego pójścia na „zieloną trawę", aby rozstanie się z polityką uprzyjemnić mu w możliwy sposób, by mógł żyć bodaj wspomnieniami uznania, na jakie sobie, bodaj w własnej wyobraźni zasłużył.

Z tego zatem powodu musiałem przerwać przygotowania do wyjazdu na świeże powietrze i zająć się zorganizowaniem komitetu pożegnalnego, którego część męską wziąłem na siebie, członki zaś żeńskie oddałem memu sekretarzowi, który jako młodszy, a zatem sprawniejszy, prędzej sobie z nimi da radę. Wobec tego mój wyjazd do Marienbadu, gdzie miałem brać nasiadówki w historycznym sitzbadzie, którego niegdyś używał śp. król Edward VII., odłożony został na rok przysły.

Celem uczczenia zasług, jakie dla narodu polskiego położył Lloyd George (ewentualnie zaś chciał położyć), program mam już prawie gotowy.

Przedewszystkiem zatem, ponieważ obecnie jest w modzie obdarzanie większych i mniejszych ludzi tytułami honorowych doktorów, postarałem się przedewszystkiem o zapewnienie czegoś podobnego i dla Lloyd'a George'a. Nasze polskie uniwersytety nie okazały zbyt wielkiej chęci zaliczenia go w poczet swych doktorów, skłoniłem zatem kierownictwo krakowskiej Szkoły położnych, do nadania angielskiemu premierowi dyplomu honorowej akuszerki. Jeśli komu, to jemu, zaszczyt ten słusznie się należy, gdy bowiem sytuacya była w poważnym stanie, starał się ułatwić rozwiązanie: a jeśli mu się nie udało, to nie jego wina, i akuszerka nie zawsze umie sobie dać radę przy porodzie. W każdym razie miał dobre chęci, za nie też należą mu się dowody uznania, choćby nawet w tak skromnej, ale tak odpowiedniej formie.

W dalszym ciągu pomyślałem także o nadaniu honorowego obywatelstwa którejś z naszych gmin panu Lloydowi George'owi. Długo zastanawiałem się nad tem którą znich wybrać, ostatetecznie padł wybór na położoną we Wschodniej Małopolsce gminę Demamorycz. Sądziłem, że w ten sposób najlepiej położę nacisk na usiłowania Lloyd'a George'a, dzięki Bogu nie uwieńczone pomyślnym skutkiem, aby polskę uchronić od niepotrzebnych kłopotów, na jakie narażałaby ją wspólne życie z Ukraińcami.

Wybrałem zaś Demamorycz, a nie inną miejscowość z tego jednego powodu, iż jest to sobie wioseczka, położona niedaleko Tarnopola, a znana szeroko w okolicy z tego, że, gdy gdzieś na targu, lub jarmarku jeden z włościan zapyta drugiego: „A wy skąd?... Z Demamorycza?...", ten odpowiada z zasady: „Tyś sam złodziej"...

Informowałem się w gminie, czy nie będzie miała nic przeciwko temu otrzymując jeszcze jednego obywatela i to tylko honorowego, oświadczono mi, że jeden mniej lub więcej, reputacyi ich nie poprawi, ani nie pogorszy, wiedzą z resztą, że Lloyd George jest wielkim przyjacielem Ukraińców i są pewne dane, że rodzina jego pochodzi, jeśli nie z samego Demamorycza, to w każdym razie z najbliższej jego okolicy, skąd w swoim czasie rodzina jego przeniosła się do Anglii i tam na stałe osiadła.

Trzecim punktem uczczenia zasług Lloyd'a George'a będzie wystawienie mu pomnika. Za najodpowiedniejsze na ten cel miejsce uznałem Psią Górkę u zbiegu ulic Starowiślnej i Wielopola w Krakowie. Właściwa Psia Górka jest już wprawdzie zajętą przez nowo wystawiony budynek, pomnik stanąć może nieco bliżej plant, o ile naturalnie nie sprzeciwią się temu konserwatorzy i miłośnicy starego Krakowa, z którymi tyle kłopotów miał już swojego czasu Mickiewicz, nim pozwolili mu się ulokować na Rynku. Na razie zawiąże się komitet budowy pomnika, zacznie się zbierać składki, ewentualnie położy się nawet może i kamień węgielny, co nie wyklucza bynajmniej, że pomnik stanąć może za jakich lat dwieście lub trzysta, wielkie rzeczy tworzą się bowiem pomału, szczególniej zaś w Krakowie który zwłaszcza do pomników absolutnie nie ma szczęścia.

Konkurs na pomnik rozpisze się zaraz, z zastrzeżeniem, aby projekt dostosowany był do otoczenia, niezbyt kosztowny, a przedewszystkiem nadawał się ku wygodzie i użytkowi publicznemu, dolna jego część mogłaby zatem pomieścić te ubikacye, które dotąd kryją się nieopodal wśród gęstwiny krzaków plantacyjnych, w danym wypadku zaś mogłyby być przerobione na budkę sodową lub inny jakiś cel.

Taki pomnik Lloyda George'a łączyłby pożyteczne z przyjemnem, odwiedzający go mieliby sposobność poświęcić wielkiemu mężowi stanu niejedno ciche, a gorące westchnienie i uronić łzę nad niewdzięcznością świata, który nie chciał, czy nie umiał poznać się na jego dobrych chęciach.

Inne punkty programu uroczystego pożegnania, między innymi: Akademia, iluminacya, odczyty i uroczyste przedstawienia są dopiero w stadyum obmyślań, gdyby zatem ktoś z P. T. Czytelników miał zamiar w tym kierunku zgłosić ze swej strony jakiś nowy projekt, zechce się z nim zwrócić do podpisanego. Spieszyć się nie potrzebuje, gdyż czasu jest jeszcze dość, a nie jest zresztą wykluczonem, że Lloyd George jeszcze się rozmyśli i z fotelu prezydyalnego nie ustąpi, a kolegom swym zamorskim powie:

— Gwizdam na was tym i tamtym końcem i nic nie robię sobie z tego, że się ze mną nie zgadzacie!... Inna rzecz z Klapą, ale nie tracę nadziei, że wróci mi jeszcze swoje serce i nie odmówi przyjacielskich rad i wskazówek...

Co do ostatniego punktu, to się grubo myli! Co Klapa raz powie lub postanowi, to jest święte, zupełnie tak, jak zasady naszych wielkich polityków, którzy zmieniają je co chwila niczem rękawiczki, lub rozporządzenia władz centralnych, skazane zaraz po wydaniu ich na odwołanie w jak najkrótszym czasie.

Choć zatem wakacye i byłby czas, co obu nam, zwłaszcza zaś mojemu sekretarzowi, monsieur Pierre Dolińskiemu słusznie należy, pracujemy z całem wytężeniem nie mając chwili spokoju ani w dzień, a tembardziej w nocy. Mnie dokuczają pluskwy, których pozbyć się nie mogę, on na nie nie narzeka, spędzając niemal każdą noc w innem łóżku, ale też bezsennie, co jest powodem, że potem cały dzień jest zaspany i popełnia błędy, nieraz bardzo fatalne. Onegdaj naprzykład, gdy dyktowałem mu list do Brianda i kazałem zakończyć zwykłą w takich wypadkach formułką, napisał bezmyślnie: „Nie gniewaj się, moja kochana, że dziś wieczór Cię nie odwiedzę, ale jestem tak zmęczony, że ledwie suwam nogami. Jutro Cię odwiedzę i nie wątpię, że będziesz ze mnie zadowoloną..."

Całe szczęście, iż dojrzałem to, podobny list mógł by był bowiem stać się przyczyną poważnych nieporozumień dyplomatycznych, a tych w obecnych warunkach jak najpilniej uniknąć nam należy.

Na razie żegnam Was i polecam się Waszej pamięci. Wasz *Klapa*.

Wenus i księżyc.

Nie wiem nawet jak to nazwać
Czy tragedya to, czy farsa,
Wenus łączy się z Księżycem
Choć pod ręką miała Marsa!

Księżyc — łysy jak kolano,
Księżyc — nudny jak emetyk,
Księżyc zdobył serce Wenus
Niedołęga i tabetyk.

Wszak miał księżyc inną miłość,
I w noc, kiedy wszyscy drzemią
Księżyc — stary ten lowelas
Włóczył tylko się za ziemią!...

Ach! ty Wenus lekkomyślna!
Trudno ci się błędów zarzec —
Mars jest goły — a natomiast
Tyle srebra ma ten starzec!...

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarz. St. Kowalskiego.



— Wiesz, że ten szczyt się chwieje!.. Mam wrażenie mój drogi, że się zniżasz ze mną!...
— Reminiscencye z nizin...